



NACJONALIZM: REAKTYWACJA?

POGŁOSKI O ŚMIERCI NARODÓW
BYŁY MOCNO PRZESADZONE

W numerze:

Po co nam ten nacjonalizm?

Michał Kuź 3

Wielki naród albo śmierć

Krzysztof Tyszka 8

Europa skręca w prawo

Aleksandra Rybińska 12

RAZa realizm moralizmem podszyty

Stefan Sękowski 16

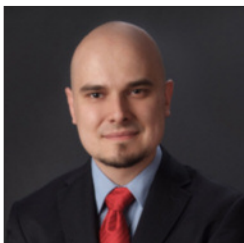
Zjednoczenie, czyli opera mydlana

Bartłomiej Radziejewski 20

Potrzebujemy w UE brytyjskiej werwy

Piotr Woyke 22

Po co nam ten nacjonalizm?



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Bez narodowej tożsamości zwiewne humanitarne idee nie mogą się przyoblec w prozaiczne, polityczne ciało. Liberalizm zamienia się wtedy w plutokrację, a socjalizm w rozpasany biurokraczm.

Każda akcja wywołuje w globalnej polityce prędzej czy później globalną reakcję. Wyczyny „banksterów” i uderzające w społeczeństwa „programy oszczędnościowe, osłabienie roli USA jako globalnego policjanta, indolencja UE i agresywna postawa rosyjskiego neoimperium także się dziś z reakcją spotykają. A jest nią zwrot nastrojów społecznych ku tożsamościom narodowym i ich wyraźne wzmocnienie. Jeszcze nie wiadomo, czy starcie wygra globalny kapitał opowiadający się za swego rodzaju modelem neofeudalnym, autorytarny imperializm, czy też tradycyjne państwo narodowe. Będzie to jednak „wielka bitwa naszych czasów”.

Nacjonalizm wyparty

Ten renesans narodów widać choćby w ukształtowaniu nowego Parlamentu Europejskiego, w którym aż 100 z 766 mandatów zdobyły ugrupowania mniej lub bardziej nacjonalistyczne. Establishment nadal stara się jednak nie mówić o tym zbyt głośno, licząc na to, że sprawa

przycichnie, a „barbarzyńców” da się przekupić tłustymi dietami i wygodnymi fotelami. W europejskich mediach przymiotnik „nacjonalistyczny” wciąż zresztą oznacza anatemę. Nawet bardzo skrajna prawica lubi mówić o sobie „narodowcy”, zaś zwrotu „nacjonałści” używa tylko w kontekście pejoratywnym, np. kiedy mówi o „nacjonalistach ukraińskich”.

W Polsce swego czasu pierwotne znaczenie słowa „nacjonalizm” chciał przywrócić Rafał A. Ziemkiewicz. Protestując przeciwko topornym sylogizmom, publicysta często ironizował. „Faszyzm kojarzy się z nacjonalizmem, nacjonalizm z Hitlerem, Dmowski był nacjonalistą, a więc musiał być rasistą, i tak oto Święto Niepodległości staje się świętem hitlerowskim, świętujący je kombatancki AK i NSZ – po raz kolejny w życiu – faszystami, a polscy narodowcy razem wzięci odpowiednikiem niemieckiej NPD” – pisał RAZ.

Potem jednak i on machnął na sprawę ręką i jak tylko mógł w swoich „Myślach nowoczesnego endecka”, kłopotliwego słówka unikał. Posuwał się nawet do tworzenia

językowych potworków typu: „narodowy demokratyzm”, byleby tylko brzydki wyraz ominąć.

Oczywiście proste skojarzenie z NSDAP istotnie nadaje słowu „nacjonalizm” leciutki posmak siarki. Myślę jednak, że przyczyny, dla których współczesna zachodnia polityka nie lubi słowa na „n”, są jeszcze głębsze.

Zacznijmy od tego, że nowoczesne państwo liberalne czy to w Polsce, we Francji, czy nawet w Stanach Zjednoczonych w sposób oczywisty opiera się na nacjonalistycznym szkielecie. Unia Europejska ani nie chciała, ani nie umiała wytworzyć swojego narodu, a mrzonki o „konstytucyjnym patriotyzmie Europy” są dziś warte mniej niż papier, na którym je spisano.

Jednocześnie liberalna władza nie chce zwykle mówić o nacjonalizmie otwarcie. I to wcale nie dlatego, że wciąż boi się Hitlera. Chodzi raczej o to, aby nie musieć przyznawać się do pewnej hipokryzji. Rozdźwięku pomiędzy tym, jak się robi faktyczną politykę, a ładnymi ogólnoludzkimi hasłami, które się głosi, bo tak wypada, oraz by nie drażnić kosmopolitycznego kapitału.

Jak bowiem pisze Robert E. Lane: polityka liberalna wymaga „szczypty anomii”. Sprawy tożsamościowe są w niej celowo przemilczane. Oficjalnie są tylko kwestią wyboru i preferencji. Ktoś zapyta, co w takim razie z tożsamością politycznie fundamentalną, tożsamością obywatela np. Republiki Francuskiej albo Rzeczypospolitej Polskiej? Co z koniecznym do tego, aby polityka działała, podziałem na jakichś „nas” i jakichś „innych”? Cóż, o tym w grzecznym towarzystwie nie rozmawiamy w ogóle, a za nazywanie tego „czegoś” „nacjonalizmem” możemy nawet

zostać wyrzuceni za drzwi i poszczuci psami.

Grzeczny, salomonowy liberalizm i socliberalizm słowo na „n” denerwuje bowiem tym bardziej, że bez silnej narodowej tożsamości zwiewne humanitarne idee nie mogą się przyoblec w prozaiczne, polityczne ciało. Bez powstania narodowej tożsamości liberalizm zamienia się bowiem w plutokrację, a socjalizm w rozpasany biurokraczm.

Z punktu widzenia prostej kalkulacji zysków i strat jest więc dziwne nie to, że Depardieu został Rosjaninem, tylko to, iż Francuzami pozostają jeszcze jacykolwiek inni opodatkowani krezusi

Oczywiście, że istnieją podmioty polityczne inne niż „państwo narodowe”. Niemal cała istniejąca wiedza historyczna jednoznacznie wskazuje jednak, że dwie największe zdobycze liberalizmu i socjalizmu, czyli liberalna demokracja oraz państwo opiekuńcze, mogą w sposób sprawny funkcjonować tylko wewnątrz państwa narodowego. Co więcej, by podtrzymać system świadczeń społecznych i względną demokratyczność ustroju, spistość narodowa musi być stosunkowo silna. Ot, kolejna oczywistość, o której jednak u progu neofeudalnej epoki nowego średniowiecza jakoś trochę straszno mówić głośno.

W poszukiwaniu solidarności

Dlaczego tak jest? Odpowiedź jest banalnie prosta, miłość do ludzkości jako całości to rodzaj fantazji, która nie przekłada się na twardą walutę polityczną. To znaczy, nie da się na takim sentymencie zbudować żadnej wspólnoty. Szeroki humanitaryzm może co najwyżej być wykorzystywany do budowania osobistych wpływów jego głosicieli.

Jak ów doktor z opowieści starca Zosimy („Bracia Karamazow”) można wręcz dojść do wniosku, że im bardziej kocha się ludzkość, tym mniej kocha się poszczególnych ludzi. Innymi słowy, im szerszy obiekt naszych uczuć tożsamościowych, tym mniej one znaczą w praktyce. Polityka wymaga zaś jasnych podziałów. Oczywiście można ich dokonywać na różne sposoby poza narodowością wiadomo też o kryterium religii, klasie lub stanie posiadania i osobistym poddaństwie względem osoby danego feudała/imperatora.

By zadziałała współczesna, zwyciężająca pochodzenie klasowe solidarność, potrzeba jednak czegoś nowego. Czegoś, co religii udawało się osiągnąć tylko w bardzo małych wspólnotach (klasztory), a arystokracji i tradycyjnej monarchii nie udawało się nigdy lub dotykały one tego jedynie na chwilę (zwykle tuż przed rewolucją zresztą).

Na pewnym poziomie solidarność domaga się bowiem podmiotowości politycznej. Trzeba mianowicie przekonać bogatych i wpływowych, że należą do pewnej szerokiej wspólnoty z biedniejszymi i słabszymi, a co za tym idzie, mają wobec nich konkretne obowiązki. Przekonać, bo żadne państwo, nawet totalitarne, nie może ich tak naprawdę do solidarności zmusić.

Kiedy np. by płacić niższe podatki, Gérard Depardieu zdecydował się wyrzucić do kosza francuski paszport i zostać obywatelem rosyjskim, ówczesny premier republiki Jean-Marc Ayrault mógł tylko powiedzieć, że to „żałosne” i „niepatriotyczne”. Tylko tyle i aż tyle. Podobny do Depardieu, horrendalny 75-procentowy podatek od dochodów płaci tylko ok. 1 500 najbogatszych Francuzów. Z punktu widzenia prostej kalkulacji zysków i strat jest więc dziwne nie to, że słynny aktor został Rosjaninem, tylko to, iż Francuzami pozostają jeszcze jacykolwiek inni opodatkowani krezusi.

Podobnie zasadne jest pytanie, dlaczego pomimo najbardziej drastycznych metod wprowadzania realnego socjalizmu, jakie można sobie wyobrazić w rosyjskim, tradycyjnie imperialnym państwie, system świadczeń socjalnych nigdy się nie uszczelnił? Urzędnikom czy nadzorcom za łapówkarstwo i kradzież, podobnie jak w dzisiejszych Chinach, groziła nawet kara śmierci. A mimo to całe rzesze kradły, oszukiwały i chachmęciły bez pamięci. Tymczasem w państwach narodowych o długiej tradycji, państwach takich jak kraje skandynawskie, nagle w cudowny sposób w miarę wolne i przedsiębiorcze społeczeństwa pokazywały, że stać je na to, aby zafundować swoim obywatelom sute emerytury, doskonałe szkolnictwo oraz świetną służbę zdrowia i przy okazji nie doprowadzić do masowej grabieży urzędniczej.

Najwyraźniej rozwijana przez lata świadomość narodowa sprawia, że po pewnym czasie biedak przestaje być po prostu biedakiem, a staje się biedniejszym Szwedem, Niemcem, Francuzem, człowiekiem takim samym jak i ja. Kawiorowi socjaliści mogą się na ten prosty fakt ży-

mać do woli i często się też zżymają. To jednak obserwacja trudna do podważenia. W przeszłości bowiem państwa, które nie opierały się na tożsamości narodowej, zwykle były albo na tyle małe, by wszyscy znaczejści mieszkańcy znali się osobiście (państwa-miasta), albo były zmuszone polegać na niezwykle mało efektywnej metodzie wymuszania politycznej jedności na zasadzie „divide et impera”. To z kolei tłumaczy, dlaczego tylko w państwie narodowym lub w klasycznej polis może zaistnieć demokracja. A przyczyn upadku staropolskiej republiki należy upatrywać właśnie w tym, że na czas nie stworzyła swojego „wielkiego narodu”, i w efekcie jej klasyczne, republikańskie instytucje zawisły w politycznej próżni.

Narody wciąż żyją

Polakom często i w pewnym sensie słusznie wydaje się, że świadomość narodowa słabnie na Zachodzie. To jednak perspektywa o tyle błędna, że skupia się tylko na obserwacjach zupełnie niedawnych tendencji. Nie bierze natomiast pod uwagę, że nawet osłabione pewnymi chorobami współczesności stare nacje Europy wciąż dysponują naprawdę potężnym kapitałem społecznym. Silne państwa narodowe mogą np. stosunkowo łatwo budować wielkie narody, o których pisze Krzysztof Tyszka. Mogą też swoje nacjonalizmy poszerzać i unaradawiać niektórych przybyszów. To naturalnie trudniejsze w przypadku imigrantów pochodzących z odległych zakątków globu, ale już z Polaków czy Hiszpanów Niemcy dość tanio i sprawnie umieją zrobić swoich ludzi.

Polska znajduje się w tym kontekście gdzieś pomiędzy starzejącymi się narodowymi potęgami zachodu, familiarnymi klikami, które rządzą państwami

na południu kontynentu, i oligarchicznymi dworami, które rządzą na wschodzie.

Oczywiście należy tutaj otwarcie przyznać, że w pewnym stopniu każdy naród jest konstruktem, w którym w różnych proporcjach mieszają się najczęściej trzy elementy: kultura obywatelska, język oraz pochodzenie etniczne. Francuzi i Polacy są np. bardzo przywiązani do swojego języka i literatury. Anglosasi kładą większy nacisk na poszanowanie pewnych prawnych norm, które, jak twierdzą Brytyjcy juryści, istnieją „since time immemorial” [od czasów niepamiętnych]. Z kolei w Japonii i Izraelu konstytucje zawierają zapisy uzależniające obywatelstwo od etnicznego pochodzenia w sensie najzupełniej biologicznym.

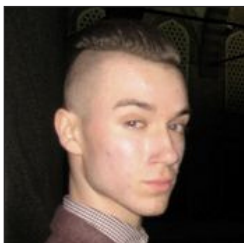
To, że narody są do pewnego stopnia konstruktem, nie oznacza jednak, że są mniej „prawdziwe”. Podobnie jak most jest nie mniej prawdziwy od swego budulca. Różnica pomiędzy ideami narodowymi tej czy innej maści a bardziej efemerycznymi koncepcjami na temat ludzkości jako takiej jest taka, że tworząc narodowość, stosuje się zwykle te budulce ideologiczne, które są łatwo dostępne w danym społeczeństwie. Architekt może sobie zaprojektować most z tytanu, platyny i diamentów, a filozof może tak jak Immanuel Kant wymyślić idealnie racjonalnego obywatela, który będzie zamieszkiwał idealnie liberalną, pacyfistyczną republikę. Mało tego, pewną ilość tytanu i szlachetnych kamieni istotnie można zgromadzić, podobnie jak można zawsze wyliczyć ileś szlachetnych umysłów pokroju Kanta. W praktyce jednak architekci najczęściej budują z kamienia, cegły i betonu, a politycy z języka, pochodzenia i kultury.

Dla kanapowo-zadymiarzkiego Ruchu Narodowego mam więc dwie wiadomości. Dobra jest taka, że w Polsce wciąż jest

zapotrzebowanie i na mosty, i na roztropny nacjonalizm. Zła wiadomość z punktu widzenia RN jest natomiast taka, że pomału do tej samej konstatacji dochodzą wszystkie liczące się siły polityczne i wcale nie przeszkadzają im oskarżenia o hipokryzję. Jakie notowania ma dziś Janusz Palikot, który jeszcze niedawno buńczucznie twierdził, że „Polacy muszą się wyrzec polsko-

ści”? Jak to się dzieje, że nawet „Gazeta Wyborcza” publikuje śpiewniczki powstańcze z okazji rocznicy zrywu '44? Od kiedy to PO przebija PiS w retoryce mówiącej o zagrożeniu naszej suwerenności oraz potrzebie solidarności i zadbania o obronność? To wszystko są, jak to mawiał pewien konfident, „doskonałe pytania”.

Wielki naród albo śmierć



KRZYSZTOF TYSZKA

Student Kolegium MISH UW, stypendysta MNiSW

Po dwudziestu latach III RP wiemy na pewno, że sama niepodległość nie wystarcza. Dojrzały naród potrzebuje „taktyki wielkich idei”, potrzebuje wielkiego celu. Polski na bezideowość nie stać

Za nami 25. rocznica wydarzenia, które z wolnością nie miało wiele wspólnego. W zeszłym roku mieliśmy za to 150. rocznicę powstania styczniowego, a więc wydarzenia, które miało tylko jeden sens: walkę o wolność. Jak wiadomo, polskie państwo nie uczciło tej daty należycie, jakby się jej wstydzilo. Wzgardziliśmy powstaniem styczniowym, lecz nie pozostało ono bezpieczne. Litewski biznesmen ufundował na Białorusi pomnik upamiętniający ten zryw. Dzieje pozostawiamy odłogiem; zbierają je nasi sąsiedzi – na Białorusi mocnym elementem budowy tożsamości staje się Wielkie Księstwo Litewskie. Tego procesu nie da się już zatrzymać. Można nim jednak – w jakiejś mierze – pokierować i próbować przewodzić.

Potrzeba celu

Po dwudziestu latach III RP wiemy na pewno, że sama niepodległość nie wystarcza. Dojrzały naród potrzebuje „taktyki wielkich idei”, potrzebuje wielkiego celu. Polski na bezideowość nie stać. Geopoli-

tyka i nawracający walec dziejów każą Polsce myśleć. Ukraina przypomina, że Polsce się spieszy.

Ogólnie rzecz biorąc, narody możemy podzielić na jednorodne, składające się z jednego ludu i tzw. wielkie narody. Te ostatnie wyłaniają się ze stopu różnych ludów przenikających się warstw etnicznych i kultur formujących w końcu jeden kształt. „Wielki naród jest zawsze w trakcie przyswajania i rozszerzania się. Skoro te procesy zanikną, gdy ustabilizuje się jego ludność, wielki naród traci swą aktywność i obumiera” – pisze Adam Doboszyński.

Autor ten pochodził z ziemiańskiej rodziny, był działaczem Obozu Wielkiej Polski. Po rozwiązaniu OWP nie przystał już do żadnej organizacji; w 1936 r. prowadzi słynną „wyprawę myślenicką”. Jako ochotnik bił się z Niemcami w 1939 r., potem przedostał się do Francji i później do Anglii, w której osiadł. Tam powstała koncepcja wielkiego narodu.

Tylko z narodowych mieszanin, twierdził Doboszyński, powstają dziejowe wielkości, podmioty zdolne odgrywać w historii

doniosłą rolę. Po powrocie do Polski Doboszyńskiego torturuje sam Różański; na pokazowym procesie zapada wyrok – kara śmierci. Do dziś nie odnaleziono jego szczątków. Komuniści chcieli, by popadł w zapomnienie. Czas wydobyć z niepamięci chociaż jego myśl.

Od Francji do Jugosławii

Klasycznym przykładem wielkiego nowożytnego narodu jest Francja. Swoją nazwę wzięła ona od jednej ze swoich etnicznych części. Lecz we francuskiej retoryce mieszały się przeróżne szczepy: mamy tu i Basków wraz z Katalończykami, i wpływy włoskie z Nicei, Sabaudii czy Korsyki, lecz także pierwiastek niemiecki – Alzację. Podobnie Niemcy stanowią wielki naród. Nie jest to monolit, jak wiadomo, ale twór scalenia różnorodnych materii: widzimy tu wielkie zróżnicowanie temperamentów i dialektów, mamy i Fryzów, i Bawarczyków, i Prusaków.

Dwie kolejne próby stworzenia wielkiego narodu to dwie nauki dla Polaków. Próba stopienia w jedno Czechów i Słowaków, twierdzi Doboszyński, była od początku poroniona. Ich zjednoczenie – i równoczesna separacja od Słowian Zachodnich – zaowocuje w sumie zbyt małą jednostką narodową, aby koszty, jakie należy ponieść w związku ze scaleniem się w wielki naród, były opłacalne.

Jugosławia z kolei musiała się rozpaść, bo rozrywały ją dwie siły: pruski i rosyjski srebrnik. Różnice cywilizacyjne, wynikające z różnic wyznaniowych i wpływów kolejnych okupacji (tureckiej i węgierskiej), były podsycane i wzmagane przez potęgę, dla których wielki naród w tym miejscu Europy byłby przeszkodą (ostatnia wojna na Bałkanach i związana z nią działalność

wywiadu niemieckiego jeszcze bardziej w tym utwierdzają).

Stąd płyną dwie lekcje dla Polaków. Potrzeba wielkości – to raz. Dwa – nasze położenie geopolityczne naraża nas na działanie sił, którym ta wielkość przeszkadza. Stąd rosyjska propaganda o tym, jakoby w Kijowie rządził Prawy Sektor

**„Oprzyjmy się chęci grania
na prymitywnym
nacjonalizmie tłumów
polskich, któremu zawsze
oddźwięczy echem
nacjonalizm tłumów
ościennych”**

(której niemieckie media chętnie przyklaskują). Stąd paraagenturalne niemieckie działania na Litwie, których ukoronowaniem była niemiecka Nagroda Karola Wielkiego dla podejmującej antypolskie działania Grybauskaitė. Wyróżnienie, przypomnijmy, przyznawane tym, którzy przyczyniają się wybitnie do „pokoju i jedności w Europie”.

Dwa nacjonalizmy

Nacjonalizm może być bowiem ruchem zbierania, łączenia i tworzenia całości. Może być też kawałkowaniem i wykrajaniem z całości tworów bezpodstawnych, niezdolnych do samodzielnego przetrwania. Ta druga, niższa płaszczyzna nacjonalizmu jest bronią stosowaną przez naszych sąsiadów – Niemcy i Rosję – wobec Słowian Zachodnich. W polu intelektual-

nym przybiera ona postać tego, co Doboszyński nazywa „nacjonalistycznym doktrynerstwem”. Ów pogląd upiera się, że każdej grupie etnicznej, nieważne jak małej i nieznacznej, przysługuje prawo do samodzielnego bytu państwowego.

Dlatego Ślężacy mają otrzymać autonomię – wesprze ich w tym tłum pożytecznych idiotów – byleby osłabić Polskę. Mniejszościom nie powinny przysługiwać jednak przywileje narodowe, twierdzi Doboszyński, lecz prawa humanitarne: nie powinno się ich ani tępić, ani prześladować, za to powinny one mieć prawo do zachowania odrębności, o ile nie zagraża ona jedności państwa.

Autor „Teorii narodu” zaleca raczej, abyśmy nacjonalistyczne doktrynerstwo wykorzystywali jako broń. Przeciw Niemcom można wygrywać różnice pomiędzy poszczególnymi landami, wzmacniając ich odrębność. Jeszcze mocniej można tym samym sposobem uderzyć w Rosję, którą wchłonęła w siebie wiele grup etnicznych i przez to nie jest tak jednorodna jak Niemcy. Tam, na wschodzie, potencjał do wywołania sił odśrodkowych i separatystycznych jest znacznie większy.

Wielkim celem Polaków ma być nowa unia. Federacja Słowian: Ukraińców, Białorusinów, Czechów, Słowaków oraz Bałtów: Litwinów, Łotyszy, Estończyków. To naturalny ciąg naszych dziejów, które już raz wyłoniły podobny kształt: Rzeczpospolitą Jagiellońską. Nie była ona „współżyciem narodów pod jednym dachem, to był proces powstawania wielkiego narodu. Proces bardzo daleko posunięty w chwili rozbioru Rzeczypospolitej”. Nie był to też zbiór narodów połączonych lojalnością wobec jednej głowy państwa, zachowujących swoje odmienne i odrębne języki i zwyczaje, zespolony po to tylko, by zapewnić sobie obronę i bezpieczeństwo.

A przecież dzisiejsza Unia Europejska nie zapewnia nawet bezpieczeństwa. Nigdy nie wytworzy jednego, wielkiego narodu, z prostego powodu: jest tworem czysto biurokratycznym, a więzi między narodami ograniczają się do posłuszeństwa wobec niektórych instytucji i umów handlowych. To sztuczna wspólnota, w której związki są spreparowane.

W rzeczywistości bowiem dwa czynniki spajają narody: pragnienie połączenia się i pokrewieństwo. Chęć można wytworzyć, lecz sploty zadzierzgane między narodami, między regionami, między ich mowami, literaturą, kulturą, węzły zaciskające się na ich dziejach, by ustanowić jedność, to praca wieków. Ukrainie – czy raczej Rusi południowej – „powodziło się – czasem świetnie, czasem jako tako – tylko w oparciu o Rzeczpospolitą. Krótki okres własnej państwowości, urozmaicony walkami z Połowcami, Chazarami, Jadzwingami itd., skończył się na pozodze najazdów tatarskich. Ruś rozkwita ponownie z chwilą oparcia się na Rzeczypospolitej. Epoka chmielniczyzny – tak przecież krótka – sprowadza potworną ruinę. Po rozbiorze Polski prowadzi Moskwa Ukrainę do katastrofy bolszewizmu”.

Oduczmy się pazerności

Stąd lekcja dla Ukraińców: że wszelka nienawiść wobec Polaków obraca się przeciw nim samym. Doboszyński mówi, że pomimo działań zaborców wzniecających wzajemne antypatie pozostałości wielkiego narodu, jaki tworzył się w ramach Rzeczypospolitej, pozostawały widoczne. „Jeśli w sto lat po rozbiorach na Litwie właściwej (kowieńskiej) wspomnienia o Rzeczypospolitej panowały wszechwładnie; jeśli Wileńszczyzna, najwierniejsze z województw kresowych, była na drodze do

ostatecznego zlania się z Rzeczpospolitą; [...] jeśli na Ukrainie spis bolszewicki z roku 1926 wykazał jeszcze 450 tys. Polaków, w tym kilkanaście tysięcy Polaków mówiących w domu po ukraińsku”, to oznacza, że zjednoczenie wielkonarodowe – zatrzymane i rozbijane przez zaborców – osiągnęło bardzo zaawansowany etap.

Nie da się zbyć tego zjawiska zarzutem o polszczeniu niepolskiej populacji zamieszkującej Rzeczpospolitą. Był to ciąg wymiany i wzajemnego przenikania, przeobrażeń we wspólny i zróżnicowany twór. Wzniesienie się na wyższą płaszczyznę nacjonalizmu, mające na celu narodziny wielkiego narodu, to idea, która powinna nas prowadzić, wierzy Doboszyński. To zadanie ciężkie jak każde wielkie zadanie. Musimy oduczyć się narodowej pazerności, walki o wyłączność: Mickiewicz, Moniuszko, Słowacki czy Kościuszko nie byli tylko Polakami. Byli kimś więcej. Byli synami Rzeczypospolitej i znów muszą stać się wspólnymi bohaterami tych, którzy powinni się w tej Rzeczypospolitej połączyć. Tak właśnie twierdzi autor „Gospodarki narodowej”. Wielki cel to wielka, wspólna

kultura i wielka polityka. Tylko razem możemy oprzeć się zagrażającym nam siłom; tylko wielki naród oprze się napaści fizycznej ze strony Wschodu i napaści duchowej ciągnącej z Zachodu.

Naturalnie, wiele ran musi się jednak wygoić. Nie wiadomo, czy dokona się to w tym pokoleniu. Może w przyszłym albo dopiero w następnym, lecz musi się to dokonać, bo w pojedynkę jesteśmy na straconej pozycji. Doboszyński pisze, że ta wspaniała myśl – idea wielkiego narodu – może się wydawać utopią. I pisze to, gdy Polski nie ma na mapie świata. Mówi jednak, że Polacy mają obowiązek wzniesienia się ponad zaszłości, iż to zadanie żąda od nas rozwagi i trzeźwego spojrzenia na inne narody, ponieważ tylko nas w regionie na takie spojrzenie stać. „Oprzyjmy się chęci grania na prymitywnym nacjonalizmie tłumów polskich, któremu zawsze oddźwięczy echem nacjonalizm tłumów ościennych” – pisał mądrze. Należy pchnąć nacjonalizm na wyższy poziom, a u kresu „mit Rzeczypospolitej zapali wyobraźnię i porwie serca na tych bezmiernych przestrzeniach, na których nie ma miejsca dla małości”.

Europa skręca w prawo



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Mimo poprawnej politycznie propagandy ostrzegającej przed „nowym faszyzmem” poparcie dla partii narodowych na Starym Kontynencie rośnie.

W sierpniu 2010 r. kilkudziesięciu polityków partii europejskich, określanych przez mainstreamowe media jako „skrajnie prawicowe”, m.in. belgijskiego Vlaams Belang i francuskiego Frontu Narodowego, udało się do Tokio na tygodniową konferencję. Zostali zaproszeni przez Uyoku Dantai, ugrupowanie japońskich nacjonalistów znanych z negocjowania japońskich zbrodni wojennych.

Quo vadis, narodowcu?

Temat konferencji: „Przyszłość ruchów nacjonalistycznych”. A jej zadeklarowany cel: „znaleźć sposób na ochronę narodowej tożsamości w erze globalizacji”. Zaproszeni delegaci nie kryli, z kim bądź czym walczą. Ze „skorumpowanymi elitami politycznymi”, „brukselskim dyktatem”, „globalizacją” oraz „masową imigracją”. Wówczas, zaledwie cztery lata temu, formacje określające się jako narodowe były traktowane przez europejskie elity polityczne jeszcze pobłażliwie i z pewną dawką pogardy. A głosowanie na nie było uważane

za coś wstydlivego, do czego nie należy się przyznawać. Teraz to się zdecydowanie zmieniło. Europa wyraźnie skręciła w prawo. Majowe wybory do europarlamentu przyniosły zwycięstwo m.in. Frontowi Narodowemu we Francji, Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) w Wielkiej Brytanii i Duńskiej Partii Ludowej, która domaga się otwarcie „więcej Danii w Danii”.

Co się stało, że Europejczycy przestali się bać nacjonalizmu? Mimo lewicowej poprawnej politycznie propagandy, ostrzegającej przed „nowym faszyzmem”, który miałby katapultować kontynent z powrotem do okresu III Rzeszy, poparcie dla ugrupowań narodowych rośnie. W najbliższym czasie niektóre z nich zapewne przejmą stery rządów w swoich krajach. Masowa imigracja, strach przed islamizacją, idące w parze z poważnym kryzysem gospodarczym i upadkiem państwa opiekuńczego, stworzyły podatny grunt dla narodowych haseł.

Przyczyniły się do tego także coraz większa liberalizacja obyczajów, wyzwania

globalizacji oraz starania unijnych elit, by na siłę stworzyć homogeniczne „ponadnarodowe” państwo europejskie. Lęk przed idącym za tym rozmyciem tożsamości i utraty suwerenności na rzecz technokratów spowodował swoiste narodowe odrodzenie. Reakcją politycznego establishmentu w Europie jest strategia stara i wypróbowana. Przywoływanie duchów lat 30. XX w., Hitlera oraz Mussoliniego. „Nie zapominajmy, że nie tak dawno temu w Europie byliśmy świadkami przerażającej demonstracji ksenofobii, rasizmu i braku tolerancji” – tak zwycięstwo narodowych i eurosceptycznych formacji skomentował szef Komisji Europejskiej José Manuel Barroso.

Nie da się ukryć, że niektóre z nowych narodowych partii wprost odwołują się do symboliki oraz ideologii nazizmu. Złoty Świt, który ma 18 mandatów w greckim parlamencie, posługuje się swastyką, na wiecach gra „Horst-Wessel Lied” i poddaje swoich członków szkoleniom paramilitarnym. Jej lider Nikos Michaloliakos przebywa obecnie w więzieniu w oczekiwaniu na proces za zlecenie zabójstwa lewicowego rapera.

Michaloliakos, który założył partię w 1985 r., po zaciągnięciu rad od byłych członków rządzącej Grecją w latach 1967–1974 junty wojskowej, sam określa program Złotego Świtu jako narodowo-socjalistyczny. Ugrupowanie za ideał państwa uważa starożytną Spartę. W sprawach ekonomicznych występuje przeciwko komunizmowi i kapitalizmowi, opowiadając się za tzw. Trzecią Drogą. Postuluje również całkowite powstrzymanie napływu imigrantów do Grecji. Złoty Świt długo odwoływał się także do korzeni pogańskich, nazywając liberalizm nośnikiem judeochryścijaństwa, ale po wizycie sze-

fostwa partii w 1996 r. w Moskwie przyjął prawosławie jako „jedyną prawdziwą religię”.

Popularność formacja zyskała m.in. dzięki prostym, populistycznym działaniom, rozdając na szczycie kryzysu w Grecji, w najbardziej zubożałych dzielnicach miast, darmowe posiłki. Zastępując coraz bardziej kulejące greckie państwo.

Duma Węgier

Na granicy rewanżyzmu balansuje też Jobbik, obecnie trzecia siła w węgierskim parlamencie. Formacja zdecydowanie odrzuca sztyld skrajnej prawicy, od którego woli określenie „partia narodowo radykalna, oparta na tradycyjnych wartościach, chrześcijaństwie i konserwatyzmie”. Ugrupowanie odrzuca klasyczny podział na lewicę i prawicę, dzieląc partię na te, które popierają bądź nie popierają globalizacji.

Ciekawe jest to, że trudno o nacjonalistyczne partie w doświadczonych kryzysem Hiszpanii i Portugalii, podczas gdy kwitną one w bogatych i mało dotkniętych przez kryzys krajach, jak Norwegia, Finlandia i Austria

Zacięcie walczy Jobbik z Romami i globalnym kapitałem, który identyfikuje jednoznacznie jako żydowski, ściągając na siebie oskarżenia o antysemityzm. Je-

den z posłów ugrupowania, Márton Gy-öngyösi zaproponował rok temu stworzenie listy Żydów w parlamencie i rządzie, którzy „stwarzają poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa”. W maju 2013 r. działacze Jobbiku oprotestowali Światowy Kongres Żydów odbywający się w Budapeszcie, apelując do Żydów, by „poszukali sobie innego kraju do inwestowania, bo Węgry nie są na sprzedaż”.

Partia zdobyła dużą popularność m.in. dlatego, że uporczywie domaga się cofnięcia traktatu z Trianon, w którego wyniku Węgry utraciły po I wojnie światowej dostęp do morza i niemal dwie trzecie ludności. Szef Jobbiku Gábor Vona uważa, że naród węgierski jest zniewolony i z jednej strony systematycznie pozbawiany tożsamości przez Unię Europejską, bo stanowi „źródło taniej siły roboczej”, a z drugiej musi się zmagać z zagrożeniem ze strony mniejszości etnicznych, których „populacja rośnie”. „Na szali leży przyszłość węgierskiego narodu, w sensie etnicznym i gospodarczym” – twierdzi.

Porównywanie większości dzisiejszych partii narodowych w Europie do faszystów i nazistów byłoby jednak niesprawiedliwe. Większość z nich nie ma bowiem żadnych korzeni w historycznej skrajnej prawicy i wykonała olbrzymi wysiłek, by się zdys-tansować do najbardziej ponurego okresu w historii XX-wiecznej Europy. Nowy europejski nacjonalizm nadchodzi falami. W latach 80. XX w. odwoływania do III Rzeszy były jeszcze ewidentne. Królowały flagi, mundury i wyraźna niechęć do demokracji, która cechowała także formacje nacjonalistyczne okresu międzywojennego. Dziś narodowcy zamiast obalać demokratyczny system, chcą go zmieniać od wewnątrz. Kiedy Marine Le Pen przejęła w 2011 r. stery francuskiego Frontu Na-

rodowego, zabroniła działaczom stosowania antysemickiej retoryki.

Zastąpiła ją retoryką antyislamską, podkreślając, że nie przeszkadzają jej muzułmanie, tylko islam. Naród, jeśli w ogóle występuje jako pojęcie w dyskursie tych ugrupowań, jest pojęciem miękkim. Służy do tego, by się odgraniczyć. Nazwy partii takie jak „Prawdziwi Finowie” dobrze to obrazują. Hasło Jobbiku przez długi okres głosiło tautologicznie: „Węgry należą do Węgrów”. Wyraźnie wybrzmiewa tu potrzeba obrony narodu niszczonego przez globalizację i europejską integrację. Nie jako jednostki etnicznej, tylko kulturowej. Wybrzmiewa również kontrdżihad, walka z kulturowym zagrożeniem, które zagnieżdżyło się w samym cercu Europy. Dlatego dla Frontu Narodowego Francuzem jest „każdy, kto przyjmuje i stosuje zasady republiki”. Bez względu na to, jakiego jest pochodzenia. Populizm w miejsce rasizmu. „Partie te apelują do przegranych w postindustrializowanej, wielokulturowej Europie, bez względu na to, kim oni są” – uważa amerykański politolog Robert O. Paxton.

Utrata znaczenia radykalnej lewicy po upadku komunizmu oznacza, że narodowe partie nie mają konkurencji w koncentrowaniu głosów sfrustrowanych. A są to w istocie ugrupowania protestu. Według sondażu instytutu Demos 55 proc. wyborców FN podało jako powód swojego poparcia „strach przed imigrantami”, a 35 proc. „niezadowolenie ze sposobu, w jaki rząd zaradza kryzysowi”.

Nacjonalistyczny kalejdoskop

Tyle samo, ile łączy nowe narodowe partie, je także różni. Zgodnie z lokalnymi gustami, tradycjami i tabu. PVV Geerta

Wildersa opowiada się za małżeństwami homoseksualnymi i popiera Izrael, podczas gdy FN Marine Le Pen otwarcie wypowiada się po stronie Palestyńczyków i maszeruje przeciwko obyczajowej rewolucji.

Nacjonalizm włoskiej Ligi Północnej jest regionalny. Partia domaga się federalizacji Włoch i większej autonomii dla północnych prowincji, które finansują biedniejsze, południowe. Regionalny nacjonalizm cechuje także belgijski Vlaams Belang, który w przeciwieństwie do większości narodowych formacji jest proeuropejski. Znowu inne, jak brytyjska UKIP Nigela Farage’a, w ogóle odrzucają określenie partii narodowej mimo antyimigranckiej retoryki i uważają się w pierwszym rzędzie za ugrupowania eurosceptyczne.

Ciekawe jest przy tym to, że trudno o nacjonalistyczne partie w doświadczonych kryzysem Hiszpanii i Portugalii, podczas gdy kwitną one w bogatych i mało dotkniętych przez kryzys krajach jak Norwegia, Finlandia i Austria. To pokazuje, że ciężka sytuacja gospodarcza i bezrobocie nie wystarczą, by wytłumaczyć nagły wzrost popularności tych ugrupowań. Kluczem jest brak zdolności rządów do obrony miejsc pracy, tradycji i granic. Do wskazania kierunku, w którym należy podążać. Jak twierdzi francuski socjolog Dominique Reynié – „jest to elektorat egzystencjalnie zdestabilizowany, zdeorientowany”.

Według holenderskiego politologa Casa Mudde’a nowe ruchy narodowe wybrały podejście minimalistyczne: nacjonalizm, ksenofobię, bezpieczeństwo (w sensie walki z przestępczością) oraz szowinizm opiekuńczy. Wszystko podane w otoczce antyestablishmentowej. Tyle że na długą metę będzie im trudno pozostać wiernym własnym hasłom. Niektóre w ramach starań, by stać się bardziej „akceptowalne”, już zgodziły się na współrządzenie z formacjami, których legitymacje poprzednio kontestowały. Łatwo w ten sposób utracić wiarygodność. Ku konsternacji wyborców nacjonalistyczna Partia Postępu weszła do mniejszościowego rządu koalicyjnego. Jej liderka Siv Jensen została nawet ministrem finansów.

Istnieje też ryzyko, że ich idee będą przechwytywane przez mainstreamowe partie. We Francji za prezydentury Nicolas Sarkozy’ego rząd zrealizował wiele żądań FN Marine Le Pen, m.in. wydalili dziesiątki tysięcy Romów oraz zakazał noszenia islamskich chust. Brytyjscy laburzyści po zwycięstwie UKIP w eurowyborach zaczęli mówić o „lepszej ochronie granic”. Tym samym, wraz z ogólnym przesunięciem się polityki na prawo, granica między ugrupowaniami określającymi się jako narodowe a rządzącym politycznym establishmentem będzie coraz cieńsza. Ich dobra passa może się więc okazać krótkotrwała.

RAZa realizm moralizmem podszyty



STEFAN SĘKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Rafał A. Ziemkiewicz w rzeczywistości nie sprzeciwia się moralności w polityce – lektura „Samobójstwa” każe mniemać, że moralność polityki leży mu mocno na sercu. Choć broni jej niekonsekwentnie.

Współcześnie nie ma chyba lepszego pytania o realizm w polityce niż to, czy Polska powinna w przededniu II wojny światowej sprzymierzyć się z hitlerowskimi Niemcami. Dylemat ten brzmi niczym bluźnierstwo wobec milionów ofiar barbarzyńskiej działalności nazistów na naszych ziemiach. To swoista propozycja paktu z diabłem. I właśnie dlatego pozwala nam zastanowić się nad tym, jak daleko rząd danego kraju może lub powinien się posunąć w obronie własnej państwowości.

Właśnie temu wątkowi swoją najnowszą książkę „Jakie piękne samobójstwo” poświęca Rafał Ziemkiewicz. Wygląda zresztą na to, że, jak sugeruje sam tytuł, w kręgach patriotyczno-prawicowych RAZ przez tę publikację popełnił samobójstwo jako środowiskowy autorytet. „WSieci” piórem Piotra Skwicińskiego zarzuca mu „panświnizm”. „Z tego ziarna w Polsce A.D. 2014 mogą narodzić się tylko nowi Urbanowie” – pisze publicysta. Jednocześnie Skwiciński nie przedstawia jednak argumentów objaśniających, dlaczego książka Ziemkiewicza miałaby „słu-

żyć złej sprawie”. W swej recenzji skupia się głównie na drobnych nieścisłościach faktograficznych, których pozycja nie jest pozbawiona.

Zaskakujący tekst zazwyczaj wnikliwego i stonowanego publicysty, jakim jest Skwiciński, można by sprowadzić do wojenki między redakcjami, dla których piszą obaj panowie, gdyby nie fakt, iż artykuł ten stanowi doskonały przykład braku umiejętności skonfrontowania się z obrazoburczą tezą RAZ-a.

Nie dorośli do rządzenia

Przecież Ziemkiewicz nie napisał tak naprawdę niczego nowego. Raczej zadziwiające jest to, że mijają lata, a tezy stawiane przez Cata-Mackiewicza, Studnickiego, Wieczorkiewicza, Gabisia, Zychowicza, Wolskiego czy Zychowicza wciąż zaskakują i zniesmaczają. Niewątpliwą zasługą autora „Samobójstwa” jest jednak uwspółcześnienie wyводу, nadanie mu atrakcyjności i niewątpliwej narracyjnej spójności.

Książkę rozpoczyna historiozoficzny wywód na temat kształtowania się polskiej duszy. Przed rozbiorami naród stanowiła szlachta, której zasługą było przywiązanie do wolności, ale niewątpliwą wadą częsta prywata i zbytne przywiązanie do bohaterstwa. Rozpasanie oligarchii doprowadziło do upadku I Rzeczypospolitej, ale warto pamiętać o tym, że to dzięki szlachcie poczucie polskości nie tylko przetrwało, lecz także rozlało się na szersze warstwy społeczne. Świadomość narodowa ze szlachty przeszła na resztę społeczeństwa ze wszystkimi zaletami, ale i wadami, które stłamsiły chłopski bądź mieszczański zdrowy rozsądek.

Gdy nadeszła wreszcie upragniona wolność, okazało się więc, że szybko do władzy doszli ludzie, którzy, jak pisał Cat-Mackiewicz, „nie dorosli do rządzenia”. Byli wpatrzeni w marszałka Piłsudskiego niczym w obrazek, on zaś traktował państwo niczym folwark, choć w odróżnieniu od swego otoczenia cechował się jednak pewną dalekowzrocznością.

Ziemkiewicz rysuje przed czytelnikiem sekwencję zdarzeń, która doprowadziła do katastrofy, zaczynając, co ciekawe, od uchwalenia skrajnie proporcjonalnej ordynacji wyborczej do Sejmu. Ignacy Mościcki, Edward Rydz-Śmigły, Józef Beck, a nawet Eugeniusz Kwiatkowski nie potrafili się odnaleźć w zmieniającej się rzeczywistości, w której obaj sąsiedzi Polski rośli w siłę.

Czytając o kolejnych zaniechaniach, człowiek łapie się za głowę zszokowany tym, że mogło w ogóle do nich dojść. Zwłaszcza polityka zagraniczna szukająca „równej odległości” nie brała pod uwagę tego, że – jak twierdzi Ziemkiewicz – największym zagrożeniem dla nas był Związek Radziecki, a nie Niemcy, natomiast Francja i Wielka Brytania sojusznikami co naj-

mniej niewiarygodnymi. Barwnie opisując szczególnie ostatnie miesiące przed wybuchem II wojny światowej, autor pokazuje, że odrzucając propozycję Niemiec i wybierając zachodnie gwarancje, wydaliśmy na siebie wyrok. Potem nasz los był już przesądzony, choć jednocześnie Ziemkiewicz stara się pokazać, jak można było zminimalizować straty.

Wewnętrzne sprzeczności

Wszystko w książce zmierza ku potwierdzeniu głównej tezy: II RP nie powinna iść na zwanie z Niemcami. Píše autor, parafrazując Becka, że jedyną rzeczą bezcenną w życiu narodów nie jest honor, ale biologiczne przetrwanie. Nie wdaje się przy tym w dywagacje, co by było, gdyby Polska weszła do paktu antykominternowskiego. Ważne jest dla niego tylko to, że nie oznaczałoby to wybuchu wojny niemiecko-polskiej 1 września 1939 r.

To nie ulega wątpliwości, niemniej nie wiemy, jak skończyłoby się dla nas faktyczne zwasalizowanie przez Berlin. Wiemy, że państwa takie jak np. Węgry nie wyszły na tym dobrze, choć z drugiej strony nie gorzej niż my. Ogólnie największą wadą argumentacji Ziemkiewicza jest arbitralne dobieranie faktów i przedstawianie największych aktorów wydarzeń historycznych w czarno-białym świetle. Taka perspektywa nieuchronnie prowadzi bowiem do wewnętrznych sprzeczności i niekonsekwencji.

Z jednej strony Ziemkiewicz jest zwolennikiem realizmu, ceni sobie gen. Pétain, który, jego zdaniem, uratował Francję od zagłady. Z drugiej strony odsądza Brytyjczyków od czci i wiary, ignorując to, iż pchając nas do wojny z Niemcami, realizowali swój interes. Szczególnie nie-

sprawiedliwy jest wobec Winstona Churchilla, którego wielokrotnie nazywa „gangsterem” skazującym nas na rolę sowieckiego wasala, choć to właśnie ten polityk był jeszcze w latach 30. największym brytyjskim zwolennikiem twardego kursu wobec Niemiec i to on proponował otwarcie II frontu na Bałkanach zamiast w Normandii, co, być może, uratowałoby nas przed wejściem do sowieckiej strefy wpływów.

Jeszcze większych problemów może przysporzyć Ziemkiewiczowska ocena Stalina i Hitlera. RAZ przedstawia sowieckiego przywódcę jako kalkulującego na chłodno socjopatę, który dąży do realizacji komunistycznej idei, podczas gdy Hitler to dla niego szarpany namiętnością wariat. Trudno więc zrozumieć, dlaczego w trakcie wojny Polakom w okupowanym państwie miałyby być lżej, gdyby się Niemcom nie „stawiali”. Przecież kilkadziesiąt stron wcześniej Ziemkiewicz wskazuje na to, że po odrzuceniu przez Polskę swoich umizgów Hitler postanowił nas zniszczyć, pałając czymś w rodzaju żądzy zemsty urażonego kochanka.

Pragmatyzm idealny

W kontekście celu, jaki postawił sobie autor, mianowicie podkreślenia wagi realizmu w polityce, niezrozumiałe są też emocje, jakie targają nim samym. Nie chodzi tu o żywy język, który uatrakcyjnia lekturę, ale o to, że wraz z biegiem narracji Ziemkiewicz feruje coraz więcej moralnych wyroków. Co ciekawe, dotyczą one nie tylko polskich polityków, lecz także aliantów, których czyni współwinnymi naszego losu. Tymczasem będąc konsekwentnym „realistą”, powinien raczej takie a nie inne ich działania przyjąć do wiadomości

jako wyraz swoiście rozumianej racji stanu obcego państwa. Wszystko to zadaje kłam tezie Skwiecińskiego, jakoby RAZ sprzeciwiał się moralności w polityce – wręcz przeciwnie, lektura „Samobójstwa” każe raczej mniemać, że moralność polityki leży mu mocno na sercu.

**Gdy nadeszła wreszcie
upragniona wolność,
okazało się, że szybko do
władzy doszli ludzie, którzy,
jak pisał Cat-Mackiewicz,
„nie dorośli do rządzenia”**

Polscy apologeti realizmu często powtarzają banał głoszący, iż „państwa nie mają przyjaciół ani wrogów, mają tylko interesy”. Służy on jednak głównie przedstawianiu siebie jako depozytariusza wiedzy na temat najlepszej drogi prowadzącej do realizacji tych interesów. Co zabawne, celujące w tym środowiska narodowe, konserwatywne i konserwatywno-liberalne równie często jak po propozycje rozwiązań cynicznych sięgają po moralizatorstwo. Weźmy choćby przypadek oceny Ukrainy przez pryzmat ludobójstwa dokonanego przez UPA ponad 70 lat temu. Czy wybory i sympatia do „katechona” Putina niektórych prawicowców są nie mniej irracjonalne niż Beckowskie „nie oddamy ani guzika”?

Z drugiej strony nasi rodzimi romantycy potrafią być niekiedy do bólu pragmatyczni i przejść do porządku dziennego nad tym, że przecież Stalin był jeszcze większym zbrodniarzem niż Hitler. Zwłasz-

cza gdy nie chcą nawet dopuścić do dyskusji na temat kontrowersyjnego tematu. Nagle stwierdzają wtedy, że w imię patriotycznego wychowywania młodzieży na jedynie słuszną modłę należy umacniać mit II RP, która wraz z przedwojennymi filmami i piosenkami Fogga ma wciąż żyć w naszych sercach.

Ten nasz polski realizm jest podszyty moralizmem: polska dusza łka, patrząc na to, jak trudno jest realizować własne interesy, jednocześnie utrzymując nieskalane sumienie.

Rafał Ziemkiewicz stara się więc na nowo zinterpretować historię po to, byśmy mogli wyciągać z niej skuteczne wnioski na przyszłość. Książki „Jakie piękne samobójstwo” nie warto jednak traktować jako manifestu pewnego siebie realizmu. To raczej głos w dyskusji, która, pewnie i tym razem, nie przebiegnie tak, jak powinna, ponieważ nasi realistyczni romantycy i romantyczni realiści okopią się na swoich pozycjach, zarzucając sobie nawzajem niskie pobudki lub brak rozsądku.

Zjednoczenie, czyli opera mydlana



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Budowa państwa to syzyfowa praca, do której prawicowa opozycja jest dziś intelektualnie i kadrowo nieprzygotowana.

Proces „zjednoczenia prawicy”, a konkretnie połączenia sił przez Prawo i Sprawiedliwość, Solidarną Polskę i Polskę Razem – coraz bardziej przypomina latynoską telenowelę. Są w nim niespodziewane zdrady, zawiedzione uczucia, nieodbierane telefony, wracanie do punktu wyjścia. Najpierw ogłoszono projekt „zejścia się” głównych aktorów, by na huczonym „weselu”, którym miał być kongres zjednoczeniowy z 12 lipca, doszło do wielkiego niewypału, jakim było nieprzybycie „panien” po tym, jak „kawaler” (czyli Jarosław Kaczyński) zerwał wcześniejsze ustalenia. Teraz słyszemy zaś, że doszło do pojedynczej „rzeczowej rozmowy” i że „zjednoczenie jest znów możliwe”.

To z pewnością świetna rozrywka pop polityczna na wakacje. Jeśli jednak mamy oczekiwać powstania wokół PiS poważnej alternatywy dla rządu Donalda Tuska – mamy kolejny żałosny prognostyk.

Nie należy oczywiście patrzeć na politykę oczami dziecka i specjalnie wybrzydzać na fakt, że silniejszy gracz, jakim jest Kaczyński, uznał partnerów z SP i PR

za na tyle słabych, żeby ich zdecydowanie rozegrać. O tym świadczyło zerwanie w ostatniej chwili wcześniejszych ustaleń, kongres w aurze zrzucania winy za niepowodzenie zjednoczenia na Ziobrę i Gowina, wyłuskiwanie poszczególnych liderów (Kurski). Czym innym jest jednak nieodłączne od realnej polityki twarde rozgrywanie, z bezlitosnym wykorzystywaniem słabości partnerów, czym innym – działanie niewiarygodne i niepoważne. Tłumaczone „buntem aparatu” półpubliczne zrywanie umów przynależy do pierwszego, ale i – niestety – do drugiego.

Tymczasem przed prawicą wyzwania znacznie poważniejsze. Afery: taśmowa i podkarpacka, tragikomiczne akcje służb („zajazd” na redakcję „Wprost”, potem na Sejm i biuro posła Burego) – tworzą wrażenie pogłębiającego się chaosu politycznego. Innymi słowy, kolejne dni i tygodnie przynoszą nam coraz to nowe potwierdzenia diagnozy ministra Sienkiewicza o „państwie praktycznie nieistniejącym”. Teraz rozrywaniem dodatkowo sprzecznościami interesów o ewidentnie

dużej sile, ale o słabo rozpoznanym jeszcze kierunku i motywach.

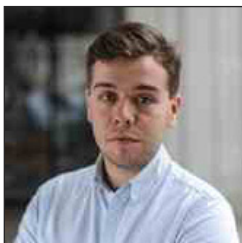
W tej sytuacji to na idącą po władzę opozycję spada ciężar wypracowania całościowego programu budowy państwa. Nie „naprawy”, lecz właśnie budowy, bo o jego „praktycznym nieistnieniu” wiadomo od dawna z diagnoz czołowych polskich politologów: Rafała Matyi, Jadwigi Staniszkis i Artura Wołka. Upublicznione przez „Wprost” słowa Sienkiewicza są tu – tylko i aż – potwierdzeniem przez praktyka.

Budowa państwa to syzyfowa praca, do której prawicowa opozycja jest dziś intelektualnie i kadrowo nieprzygotowana. Bodaj najbardziej znaczący projekt zmian instytucjonalnych, jaki przedstawiła w ostatnich latach to... propozycja wydzielenia Ministerstwa Energetyki z resortu gospodarki.

Czym innym jest jednak nieodłączne od realnej polityki twarde rozgrywanie, z bezlitosnym wykorzystywaniem słabości partnerów, czym innym – działanie niewiarygodne i niepoważne

Najwyższa pora, by polityczna prawica zdała sobie sprawę z powagi sytuacji i swojej roli. I zamiast zabawiać czytelników tabloidów „serialem zjednoczeniowym”, zaczęła myśleć i działać na serio.

Potrzebujemy w UE brytyjskiej werwy



PIOTR WOYKE

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Do potencjalnego Brexitu jeszcze daleko, ale Londyn po raz kolejny intencjonalnie oddala się od Unii. A ta zdaje się to coraz bardziej ignorować. To dla Polski bardzo zła wiadomość.

Cóż za symboliczny zbieg okoliczności – można było pomyśleć, obserwując to, co się działo w Brukseli i Londynie w ostatni wtorek. Tego dnia Parlament Europejski solidną większością 422 głosów zaakceptował Jean-Claude’a Junckera jako nowego przewodniczącego Komisji Europejskiej. Tego samego dnia premier Wielkiej Brytanii David Cameron powiadomił o poważnych rozsadach w swoim rządzie. Pośród wielu zmian najwięcej emocji wywołały nominacje Phillipa Hammonda na ministra spraw zagranicznych i Jonathana Hilla na brytyjskiego członka wspomnianej Komisji.

Gdy Juncker zbierał w Brukseli oklaski za powoływanie się na dorobek eurofederalisty Jacques’a Delorsa, Cameron ogłaszał objęcie Foreign Office przez jednego z najbardziej eurosceptycznych torysów. Wyznaczony na komisarza lord Hill jest nieco zapomnianą postacią, pamiętaną głównie z twardej postawy w trakcie negocjacji traktatu z Maastricht. Do potencjalnego Brexitu jeszcze daleko, ale Londyn po raz kolejny intencjonalnie od-

dała się od Unii. A ta zdaje się to coraz bardziej ignorować. To dla Polski bardzo zła wiadomość.

Po majowych wyborach kandydatura Junckera na szefa Komisji Europejskiej wydawała się zagrożona. Juncker był od początku nie po myśli Londynu. Być może gdyby w 2009 r. brytyjscy konserwatyści nie zdecydowali się na rozwód z Europejską Partią Ludową i stworzenie własnej grupy w PE, problemu w ogóle by nie było. Droga Junckera, aby stać się kandydatem, i tak była zresztą wyboista i wiele się mówiło o tym, że sama Angela Merkel nie jest do tego pomysłu przekonana. Już po wyborach obiekcje wobec niego zgłaszały zarówno większe (Włochy), jak i mniejsze (Węgry, Szwecja, Holandia) kraje Unii.

Opór Camerona wobec Junckera jest zrozumiały. Konserwatyści czujący na plecach oddech antyunijnej partii UKIP i regularnie tracący w sondażach do opozycyjnej Partii Pracy obawiają się trwałej utraty swoich tradycyjnych wyborców. Znajdują się w potrzasku pomiędzy ko-

niecznością zaznaczania swojego poparcia dla jak największej autonomii Wielkiej Brytanii w UE a współpracy z relatywnie euroentuzjastycznym koalicjantem. Jean-Claude Juncker jest zaś kandydatem z najgorszych snów Brytyjczyków, czemu dały wyraz tabloidy na Wyspach. Podobnie pozbawiony charyzmy jak Herman Van Rompuy, obecny jest na unijnych salonach już od dłuższego czasu. To zaprzysięgły zwolennik zacieśniania integracji, a przy tym polityk przebiegły – mistrz zakulisowych układów, czego dowiódł już jako szef grupy państw strefy euro. Potrafi twardo bronić swoich poglądów, jednając sobie przy tym przychylność takich stolic jak Paryż czy Berlin. To znacznie trudniejszy przeciwnik niż José Manuel Barroso.

Jeszcze kilka lat temu perspektywa wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej wydawała się niezbyt realna. Kryzys strefy euro, niepokoje na całym kontynencie, przebudowa systemu władzy w UE i ostatecznie wzmocnienie roli Niemiec spowodowały, że sytuacja bardzo szybko się zmieniła.

Wciąż istnieją poważne przeszkody dla Brexit, jak sprzeciw Stanów Zjednoczonych czy długotrwałe skutki gospodarcze wyjścia ze wspólnoty. Niemniej sceptycyzm Brytyjczyków względem Brukseli jest dzisiaj ogromny, czego dowodem choćby popularność partii Nigela Farage’a. Premier Cameron w styczniu zeszłego roku obiecał, że jeżeli torysi utrzymają się przy władzy, to w 2017 r. zorganizują referendum na temat oderwania się od EU. Laburzyści i liberalni demokraci nie chcą ustalać sztywnej daty, jednak w razie dojścia do władzy mogą być zmuszeni do rozpisania głosowania. Nic dzisiaj nie za-

powiada, aby Unia dalej rozwijała się w kierunku, który będzie można przedstawić obywatelom Zjednoczonego Królestwa jako pożądany z ich punktu widzenia.

Z Londynem łączą nas proatlantyckie zapatrywania w polityce zagranicznej, a także podobne poglądy na sprawy bezpieczeństwa, co ostatnio objawiło się w kwestii ukraińskiej

Coraz większa odległość, jaka dzieli Wyspy od kontynentu, oznacza dla nas poważne problemy. Nie chodzi tylko o los setek tysięcy Polaków żyjących w Wielkiej Brytanii. Z Londynem łączą nas proatlantyckie zapatrywania w polityce zagranicznej (coraz rzadsze w dzisiejszej UE), a także podobne poglądy na sprawy bezpieczeństwa, co ostatnio objawiło się w kwestii ukraińskiej. To oczywiście gest symboliczny, ale podczas właśnie trwających targów lotniczych w Farnborough (największa impreza tego typu na świecie) Brytyjczycy skutecznie uniemożliwili udział rosyjskich oficjeli w handlu, w związku z agresją na Ukrainę. To bolesny i prestiżowy policzek dla Moskwy. W tym samym czasie Francja przysposabia rosyjskich marynarzy do obsługi nowoczesnych okrętów desantowych.

Wesprzyj nas

„Nowa Konfederacja” znalazła się w **bardzo trudnej sytuacji finansowej**, tracąc 60 proc. przychodów (8 tys. zł miesięcznie) po tym, jak nasz największy Darczyńca stracił możliwość wspierania nas. Jeśli do sierpnia b.r. nie uda nam się zbilansować budżetu – będziemy musieli **ograniczyć lub zawiesić działalność**.

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”!

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnięcia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

W czerwcu nasze stałe przychody wyniosły 6 800 zł (pozostałe przychody: 10 615 zł). Aby przetrwać, potrzebujemy 13 300 zł miesięcznie.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Dwudziestu Pięciu Anonimowych Stałych Darczyńców, Andrzej Dobrowolski, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny, Zbigniew Zadora

Pozostali Darczyńcy:

Siedemdziesięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski. (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

Redaktor prowadzący: Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa: Michał Kuź

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa